Nr. 74. Lwów — Niedziela dnia 30 Marca. Rok 1902.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.
Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi w kraju i Austryi miesięcznie 2 K. 20 h. w Niemczech 3 „ — „ w innych państwach 4 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 40 h. [illegible]
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 K. [illegible]
Numer pojedynczy [illegible]

PRZEGLĄD
polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Agencya dzienników Solskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.
Ceny ogłoszeń:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h.
W drobnych ogłoszeniach: tłustym petitem za każde słowo 4 h. tłustym garmondem „ 6 h. koresp. prywatne „ 8 h.
Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce 60 h.
Reklamy po kronice wiersz petit 1 k.
Ogłoszenie na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy 60 h.

Dziś: E. Wielkanoc | Aleksego
Jutro: Poniedz. Wielk. | Cyryla Jer.
Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**
Wschód słońca o g. 5 m. 50
Zachód „ „ 6 m. 20
Długość dnia godzin 12 minut 25
Przybyło dnia od wczoraj 4 min.

Czas odnowić przedpłatę
Wynosi ona na prowincyi:
Miesięcznie 2 K. 20 h.
Kwartalnie 6 „ 60 „
Półrocznie 13 „ 20 „
Rocznie 26 „ 40 „
Za zmianę adresu dopłaca się 40 h.
Administracya Przeglądu.

Zjazd w Wenecyi.

Kanclerz niemiecki hr. Bülow jechał z tem do Wenecyi, że się tam spotka z włoskim ministrem spraw zagranicznych p. Prinettim. Z Berlina pisał do niemieckiego ambasadora w Rzymie, aby mu przygotował ów zjazd, przyczem naturalnie oświadczył, że stawi się tam, gdzie go zechce przyjąć p. Prinetti. Ta prośba niemieckiego kanclerza była przedmiotem narady między królem Wiktorem Emanuelem, prezesem gabinetu p. Zanardellim i ministrem spraw zagranicznych, poczem dano znać hr. Bülowowi, że nie on będzie szukał Prinettiego, ale Prinetti złoży mu w Wenecyi wizytę. Jakoż zjechali się oni we czwartek i na jednej porannej konferencyi nie mogli omówić wszystkich zagadnień, spożyli więc razem śniadanie, a potem znów się naradzali.

Oczywiście ich narady miały charakter tylko informacyjny. Rzecz powszechnie wiadoma, że położenie trójprzymierza, jego celów i warunków przedłużenia, od lat kilku całkiem się zmieniło. Stosunek jego do Francyi nietylko nie jest tak nieprzyjazny, jak był za czasów Crispiego, lecz owszem opiera się na układzie o Trypolis. Wskutek tego między Włochami a Francyą tak samo już nie ma antagonizmu, jak i z powodu spraw bałkańskich nie ma między Austryą a Rosyą. Już dlatego Włochy nie obawiają się francuskiego ataku od strony lądu, a od strony morza trójprzymierze nie jest w stanie pomódz Włochom, gdyby one były zaatakowane przez Francyę. Dawniej rolę obrońcy włoskich brzegów od francuskich zamachów brała na siebie Anglia, jako państwo sprzyjające trójprzymierzu i jako prawie cichy jego spólnik. Ale od pewnego czasu Anglia nie ma najmniejszej ochoty wspierać Niemców, a narażać się Francuzom. Wynika to nie z rozżalenia za boerofilstwo, ani za publikacye narad ambasadorskich w przededniu wojny hiszpańsko-amerykańskiej — (za owe publikacye oskarżające Anglię o intrygowanie przeciw Stanom) — lecz wynika z rzeczy o wiele ważniejszych, z jedynie ważnych, bo z obawy o to, że Niemcy zanadto się rozsiądą na morzach i oceanach ze szkodą Wielkiej Brytanii. Dziś Anglia, mając w Niemczech niebezpiecznego rywala, nie może sprzyjać trójprzymierzu i gdyby wogóle zawierała z góry sojusze z państwami europejskiemi równego ze sobą stopnia, toby prędzej podała rękę Francyi, aniżeli Niemcom.

Z tego prosty wniosek, że na dawnych warunkach Włochy nie mają po co wchodzić w przymierze z Niemcami. Wystarczy im porozumieć się z Austryą co do morza Adryatyckiego, a z Niemcami mogą nie mieć żadnych specyalnych układów, zwłaszcza jeżeli nie otrzymają ustępstw w traktacie handlowym. Niemcy umyślnie narobiły niesłychanego hałasu ze swą taryfą celną, aby potem, czyniąc ustępstwa, zatrzymać przy sobie sojuszników, — ale w obecnych czasach — nieco się przerachowały. Francya bardzo w porę ofiarowała Włochom traktat handlowy i tem uwolniła je od konieczności oczekiwania niemieckiej łaski. Jak to było zręcznie ze strony francuskiej, dowodzi to, że tuż za Trypolisem, stanął układ o Trypolis, czyli, ściśle mówiąc, o równowagę na morzu Śródziemnem. Dziś Niemcy muszą prosić Włochy o pozostanie w trójprzymierzu, muszą ofiarować im dobre warunki i już absolutnie nie otrzymają takich zobowiązań, jakie uzyskiwały dotąd, to znaczy, układ nie może mieć ostrza, zwróconego przeciw Francyi.

Lecz jak zaznaczyliśmy wyżej — panowie Bülow i Prinetti nie po to się zjechali, aby ułożyć szkic przymierza włosko-niemieckiego, lecz jedynie po to, aby p. Bülow wiedział, czem w przyszłości będzie można przykuć Włochy do siebie. Tak ten zjazd tłómaczą półurzędowe dzienniki i takie znaczenie dają mu telegramy o zapatrywaniach dyplomatów niemieckich, francuskich i innych.

Panbrytański związek celny.

Zwrot olbrzymiej doniosłości dokonuje się w Anglii, zwrot, którego następstwa ekonomiczne, a poniekąd także polityczne są wprost nieobliczalne. Oto opinia publiczna w Wielkiej Brytanii odwraca się coraz bardziej od doktryny wolnego handlu, a liczba zwolenników systemu ceł ochronnych staje się z każdym niemal dniem większą. Początek tego prądu datuje się od jubileuszu królowej Wiktoryi w roku 1897, zaś wojna południowo-afrykańska czyni go coraz potężniejszym.

Idea wolnego handlu zwyciężyła w Anglii z początkiem piątego dziesiątka lat minionego stulecia, wyraz zaś zupełny odniosła w zawartym w roku 1860 angielsko-francuskim traktacie handlowym. Od tej pory każdy, kto nie hołdował bezwarunkowo wolnemu handlowi, tak, jak go Cobden głosił, był w życiu politycznem w Anglii wprost niemożliwy. Oba wielkie stronnictwa polityczne, torysów i wigów, wypisały teoryę wolnego handlu na swoim sztandarze, lord Beaconsfield uniewinniał się w parlamencie, że mógł mieć kiedyś tak zapleśniałe poglądy w sprawie wolnego handlu i nie uznawał jego olbrzymich dobrodziejstw, a lord Salisbury, wódz torysów, [illegible] — nie oglądając się na to, jak urządzają się inne państwa, otwierano na oścież wrota Anglii dla handlu całego świata tak, że ostatecznie właściwie tylko cło od artykułów konsumcyi było celonych, t. j. spirytus, piwo, wino, herbata, kawa, kakao, tytoń i rodzynki. Nawet cło od cukru zniesiono. W tym kierunku przyniosło to znakomite rezultaty, a mianowicie, że podniosło nadzwyczajnie stopę życia ludności angielskiej. [illegible] wszystkich środków do życia, wywołanej zniesieniem ceł, może każdy Anglik nierównie lepiej odżywiać się, niż mieszkańcy innych państw. To dobrodziejstwo wolnego handlu było tak olbrzymie, że wobec niego nie zwracano uwagi na to, iż import obcych towarów do Anglii wzrastał w tempie nieskończenie szybszem od eksportu angielskiego i skutkiem tego pogarszał się bilans handlowy Anglii. Nie martwiono się tem wcale, bo płatniczy bilans Anglii, zapewniony przez [illegible] dochód z kapitałów zagranicznych, nie był zagrożony.

Zwolna jednak dostrzegano także odwrotną stronę medalu. Oto rolnictwo angielskie skutkiem nieograniczonej swobody handlu zostało przez zamorską konkurencyę prawie zniszczone, zmniejszyły się dochody właścicieli ziemskich, a następstwem tego było wyludnianie się wsi na korzyść miast, co jest niebezpiecznem i z socyalno-politycznego i z militarnych względów. Następstwem wolnego handlu było to, że przemysł angielski począł mniej rozwijać się, gdyż dokuczała mu konkurencya państw, chroniących swój przemysł wysokiemi cłami, jak Niemiec i Ameryki. Wreszcie i to musiało ostudzić dawny zapał Anglików dla wolnego handlu, że widzieli oni, iż właściwie żadne państwo nie poszło za ich przykładem. Wprawdzie zbliżyły się państwa europejskie między latami 1860 a 1877 do wolnego handlu, ale potem zawróciły z tej drogi. Francya zaraz po nieszczęśliwej wojnie z Prusami zaprowadziła u siebie bardzo wysokie cła finansowe, a za jej przykładem przeszły wnet do systemu ceł ochronnych Austro-Węgry, Niemcy i Włochy. Ba! nawet niektóre kolonie angielskie, jak Kanada, Wiktorya i Kapland zamknęły się cłami od kraju macierzystego. Nietylko więc nie sprawdziła się przepowiednia Cobdena, że jeżeli Anglia zaprowadzi u siebie wolny handel, to cały świat będzie musiał pójść za jej przykładem, bo te państwa, któreby tego nie uczyniły, zrujnowałyby się ekonomicznie, lecz przeciwnie rzeczywistość zadała zupełny kłam temu proroctwu. Właśnie bowiem te państwa, które zaprowadziły cła ochronne, prosperowały i to w znacznej mierze kosztem Anglii.

Te stosunki sprawiły, że obok szkoły wolno-handlowej powstała w Anglii druga szkoła ekonomiczna, t. z. „fair-traders". Zwolennicy tej szkoły nie dążyli wprawdzie do zupełnego zamknięcia celnego Anglii dla reszty świata, ale do tego, ażeby angielska polityka celna oparta była na zasadzie wzajemności. Dla tych państw, które same się odgradzają cłami od Anglii, miała i Anglia pozostać zamknięta, otworem zaś miała stać tylko dla tych, które wpuszczają do siebie angielskie wyroby. Główny zaś nacisk kładzie ta szkoła na to, ażeby pod względem handlowo-politycznym przykuć ściśle kolonie do kraju macierzystego.

Teoretycznych zwolenników miała ta szkoła t. z. „fair traderów" bardzo wielu, ale nie mieli oni jeszcze odwagi praktycznie przyznać się do tego. Dopiero dwa wypadki, pozornie nie mające nic wspólnego z polityką handlową, wywołały przewrót zupełny w angielskiej opinii publicznej, a mianowicie: jubileusz królowej Wiktoryi w r. 1897 i wojna południowo-afrykańska.

Ów rok jubileuszowy, w którym zjechali się w Londynie naczelni ministrowie jedenastu kolonii angielskich, posiadających własny samorząd i odbyli konferencyę pod przewodnictwem Chamberlaina, był właściwie początkiem wielkobrytańskiej polityki imperyalistycznej. Dopiero teraz ocenił należycie naród angielski, jakie nieprzebrane skarby posiada w swych koloniach, a z drugiej strony także w koloniach odezwał się silniejszy pociąg ku krajowi macierzystemu, dzielącemu się poniekąd z niemi swą historyczną sławą i cywilizacyjną świetnością. Jakoż podniesiono hasło ściślejszego zespolenia kolonii z macierzą i już podczas uroczystości jubileuszowych zrobiono niejedno, aby to hasło w czyn zamienić. Australia, która zabierała się właściwie do stworzenia wielkiej konfederacyi państwowej, czegoś w rodzaju australijskich Stanów zjednoczonych, oddała Anglii do dyspozycyi na wypadek potrzeby swą flotę, kolonia przylądkowa ofiarowała jej w podarunku okręt wojenny pierwszej klasy, a Kanada jako dar jubileuszowy ofiarowała Anglii z początku 25 cio, a potem 50-procentowy opust ceł dla wszystkich towarów angielskich, dowożonych do Kanady. Ważną rzeczą też było to, że Chamberlainowi udało się w obrębie międzynarodowego związku pocztowego stworzyć osobny panbrytański związek pocztowy, oparty na tej zasadzie, że zarówno w Anglii jak i we wszystkich jej koloniach istnieć ma jednolita marka pocztowa, kosztująca jednego penny (5 centów). Wojna południowo-afrykańska spotęgowała bardzo znacznie ten prąd, rozpoczęty podczas jubileuszu królowej Wiktoryi. Na wiadomość bowiem o pierwszych klęskach angielskich w grudniu 1899, kolonie z własnego popędu ofiarowały Anglii pomoc i dostarczyły jej przeszło 60.000 ochotników. Ażeby się bodaj w części odwdzięczyć za to, polecił angielski zarząd wojskowy liwerantom zaopatrywać się we wszystkie potrzeby dla armii wojującej ile możności tylko w koloniach. I oto ścisłe zespolenie kolonii z macierzą stało się już nie hasłem ekonomicznem, ale poniekąd potrzebą serca całego narodu angielskiego. Równocześnie znalazł się rząd angielski w konieczności szukania nowych źródeł dochodów państwowych i przy tej sposobności dopiero wyszło w całej pełni na jaw, jak uciążliwym dla Anglii jest system bezwzględnej swobody handlu. Rząd chciałby ściślej zespolić z krajem macierzystym kolonie, a nie może im ofiarować żadnych korzyści, bo granice państwa stoją dla całego świata otworem, chciałby stworzyć nowe źródła dochodów, a tymczasem prawie wszystkie cła finansowe są zniesione.

Ta podwójna konieczność sprawiła, że zaczęto w Anglii coraz poważniej zastanawiać się nad tem, czy nie dałoby się stworzyć nowego systemu polityki celnej, uwzględniającego bardziej istniejące stosunki. W ten sposób wyłoniła się idea stworzenia panbrytańskiego związku celnego. Myślą przewodnią tej idei jest zaprowadzenie pewnych ceł finansowych, mających przysporzyć państwu dochodów, a zarazem zajęcie wobec obcych państw stanowiska ścisłej wzajemności, to znaczy ostrzejszego traktowania tych państw, które odgradzają się cłami od Anglii, — kolonie zaś angielskie mają być bezwarunkowo traktowane życzliwiej od obcych państw i albo korzystać nadal ze swobody handlowej w obrocie z Anglią, albo opłacać od swoich towarów cła znacznie niższe, niż opłacać je będą inne państwa. Opinię publiczną w Anglii już pozyskano dla tej myśli i kto wie, czy myśl ta nie znajdzie odpowiedniego wyrazu już w przyszłorocznym budżecie angielskim. Oczywiście, że jednym zamachem panbrytański związek celny nie może przyjść do skutku, ale w każdym razie są już widoczne usiłowania zrobienia początków. Jeżeli się zaś zważy, że państwo wielkobrytańskie z koloniami liczy 400 milionów mieszkańców i produkuje literalnie wszystko, czego człowiek potrzebuje, to przyznać trzeba, że stworzenie tego związku celnego zbliżyłoby nas do ideału „zamkniętego państwa handlowego", o jakiem marzyli niektórzy filozofowie. Związek ten przedstawiałby tak niesłychaną potęgę ekonomiczną, że przez kilka generacyi odgrywałby decydującą rolę w gospodarczem życiu całego świata.

List Karola Chłapowskiego.

Znany w całej Polsce p. Karol Chłapowski, mąż pani Heleny Modrzejewskiej, napisał list do jednego ze swych przyjaciół, z którego tutaj wyjątek podajemy. Pan Chłapowski pisze:

Duluth, Minn., 4 marca.

Piszę dziś kilka słów do Ciebie z nad brzegów Lake Superior, het na północy Stanów Zjednoczonych, pomimo to mamy dziś odwilż, lecz od przeszłego piątku, lut. 28, aż do wczoraj mieliśmy zimę syberyjską. Termometr był przeciętnie od 20—30 stopni niżej zera Fahrenheita, czyli od 23—27½ stopni Reaumura mrozu. Przyczem wicher północny wściekły i śnieżna zawierucha. Dzisiaj zaś prawie wiosna, tylko, że cały krajobraz jeszcze biały od śniegu, a jezioro całe pokryte lodem.

Wogóle bardzośmy mało mieli zimy, chociaż od Spokojnego Oceanu wracaliśmy drogą Pacific Northern, to jest od Seattle przez Washington, Montanę, Dakotę, zawadzając nawet o Manitobę (Winnipeg). Droga niekoniecznie przyjemna, bo się dużo jedzie ogromnemi górami i bardzo na północy.

Teraz się skręcamy na wschód; tydzień (marca 17—22) będziemy w Detroit (Mich.) a Wielki Tydzień (23—29) spędzimy w Chicago z dziećmi, potem jeszcze kilka tygodni w t. zw. średnim zachodzie, t. j. w stanach Ohio, Indiana, Jowa, Illinois i t. p., potem koniec sezonu i wracamy do Kalifornii na lato.

W sierpniu zaś myślimy się puścić w drogę do Europy, aby zimę przyszłą przepędzić w kraju.

Urok Ameryki, oprócz przyrody i stosunków rodzinnych, coraz dla nas bledszy. Stosunki polityczne i społeczne zmieniają się coraz na gorsze. Co do tych ostatnich, to plutokracya i materyalizm w największym rozkwicie, zaś dawniejsza prostota i męskość czasem jeszcze na zachodzie się trafiają — ale na wschodzie już nawet ich szczątków nie widać.

Politycznie zaś nic lepszego u nas, niż w Europie. Oszołomione łatwem powodzeniem w wojnie hiszpańskiej, Stany Zjednoczone rzuciły się na zabój w politykę imperyalistyczną i zaborczą i takie same paskudztwa wyprawiają w Filipinach, jak Anglicy w południowej Afryce. Z ogromnym entuzyazmem anglosaski cały świat polityczny, i kapitalistyczny tutejszy przyjmuje księcia Henryka pruskiego — i teorya wyższości rasy anglosaksońskiej, która tak od kilku lat się tutaj rozpowszechniła i stworzyła zbliżenie Anglii i Stanów Zjednoczonych, rozszerzyła się teraz i przezwała się teoryą ras teutońskich, niby to Anglia, Niemcy i Ameryka razem. Sympatye dla ras zgnębionych, które były tu zawsze „a l'ordre du jour", dziś tylko drwiny wywołują. Materyalne powodzenie, które tu od kilku lat panuje, sprzyja naturalnie rozrostowi tych wszystkich fatalnych dążności.

Jedyna dziś nadzieja dla przyszłości amerykańskiej — a przez to dla przyszłości szczęśliwszych stosunków politycznych i społecznych w całym świecie — leży jedynie w prawdopodobieństwie gwałtownych przesileń ekonomicznych i krachów, któreby znowu ludzkość sprowadziły do rozsądniejszej podstawy.

Temu kilka miesięcy miałem sposobność rozmowy z W. J. Bryanem, upadłym kandydatem demokratycznym. Jest to pomimo swoich niedoskonałości jeszcze najuczciwszy człowiek w świecie politycznym amerykańskim. Lecz naturalnie patrzy się bardzo czarno na przyszłość swego kraju, i trudno się z nim nie zgodzić.

Gdy dawniej słyszano tu o prześladowaniach narodowych lub religijnych w innych krajach, to oburzenie było ogólne. Dzisiaj się już Amerykanie nie oburzają, gdyż sami nawet nie są lepsi od innych. Najzdrowszy jeszcze tu żywioł znajduje się głównie pomiędzy katolikami. Niestety $^{9}/_{10}$ katolików należą do klas niewykształconych, a bodaj połowa z nich zrodzona za granicą — i bez żadnego wpływu. Zaczynają się jednak coraz więcej organizować, i jedni o drugich opierać. Coraz więcej tworzy się towarzystw katolickich.

Sądzę, że w przeciągu kilkunastu lat wytworzy się stronnictwo, jeżeli nie czysto katolicko-polityczne, ale w każdym razie rządzące się duchem katolickim, coś w rodzaju centrum w Niemczech, a bardzo nam potrzebne. Z innowierców najwięcej się jeszcze starają przybliżyć do katolików tzw. High-Church-Episcopalianie, to jest gałęź amerykańska kościoła anglikańskiego. Dużo pomiędzy niemi porządnych ludzi, — tylko że mają jakiś pseudo-arystokratyczny charakter. Także i na północnym Zachodzie starzy luteranie, bądź to pomiędzy Niemcami, bądź pomiędzy Skandynawcami, mają prawdziwe poczucie chrześcijańskich zasad. Zato kalwiniści, pod którą to nazwą można objąć wszystkie inne sekty protestanckie razem z agnostykami i z masoneryą — coraz to więcej przyjmują charakter antychrześcijański. Główna ich religia, to jest nienawiść katolicyzmu.

---

186)

HURAGAN

Powieść historyczna
przez
Wacława Gąsiorowskiego.

(Ciąg dalszy).

Generał Souchet, użyrający się po za obozem z bandami guerillów, był strasznym. Jeniec w ponurem jego oku znalazł zawsze jeden i ten sam wyrok nieodwołalny — śmierć! Jeżeli nawet lekkokonnym oddziałom Soucheta udało się pochwycić tabor powstańczy — i tu zakończenie było krótkie. Na polanę spędzano kobiety, dzieci i obrońców praw Ferdynanda VII i szarpano ich rotowym ogniem. Żadnych sądów, żadnych rozpraw — kula rozstrzygała zawsze.

Krew za krew! — było hasłem.

A po nad tym mordem, po nad rzezią wzajemną, po nad łunami pożarów, ponad zlodowaciałemi sercami — unoszono krzyże i szeptano modlitwy.

Aż niebo zasnuło się kirem chmur i grozić zdało się bluźniercom, którzy godła pokoju i miłości nieśli na hańbę, na zniewagę po oszpeconych trupach, po ciałach wydanych na mękę!...

Po zdobyciu Coso, pułk Kąsinowskiego za decyzyą marszałka trzydniowy dostał wypoczynek na zaprowadzenie ładu w mocno przerzedzonych szeregach. Zabitych i rannych było co niemiara — między oficerami nawet nie brakło ran ciężkich.

Gros-major frasował się, a sam zabiegał, byle cierpiącym ulżyć — najwięcej zaś troszczył się o Stadnickiego, który prócz cięcia po głowie dostał znów kontuzyę i to w toż samo miejsce nad biodrem, co pod Somo-Sierrą. Major nie pozwolił nawet pana Józefa do ambulansów zanieść, lecz naradziwszy się z doktorem Guliczem oddał go Żubrowej.

Stadnicki cierpiał mocno, lecz znać po sobie nie dawał i leżał blady, siny z bólu, lecz milczący.

Michałowski po kilka razy dziennie zaglądał do namiotu rozbitego przy furgonie markietanki i pochylał się nad Stadnickim.

— Jakże waćpanu? Hm! Co? Piecze? Choroba!... Zdaliśmy raport marszałkowi, No, tabaczki. Gdzie tobie... Byle spokojnie i tego!... Jakżeś to ty krzyknął?... „Szwoleżerzy... właśnie!" Rozpęd, wigor, impet, morowość... choroba!... W ogieńby! Hm! Słowa nie piśnij, bo ci się drzazga taka zapali w oczach!... Co tu gadać... krzyż, kochanku!... Zjadłeś wszystkich!... Pułkownik gdzie został!... Hm!... Nie myślałem... kawalerya... na piechotę, tego!... A jakże, kochanku!... Piechota, to jest wszystko... wał, nie wał, góra nie góra, okop, skała, las nie las... wszędzie!... Marszem, kłusem, na brzuchu, po drzewach, po drabinach i... hm! choroba! Cóż ty się tak krzywisz? Dokucza, co?

— Psia mać! — jęczał Stadnicki.

— Czekaj, kochanku, sprowadzę ci Gulicza! Musi Niemiec, szelma, poradzić, bo opłazuję, kochanku!

Major poprawił energicznie pasa na okrągłym brzuszku i biegł do medyka.

O dziwo, po odejściu majora, chory się uspokajał zazwyczaj. Baczna na wszystko Żubrowa domyśliła się w czem rzecz i gdy Michałowski po raz piąty zwykłą sobie perorę jął wygłaszać nad Stadnickim, ozwała się z perswazyą:

— Bez urazy, jużby pan major dał spokój panu porucznikowi z tą piechotą! Jemu to pewnie do smaku nie idzie...

— Hę? Co, kochanku? Piechota nie w smak? A wiecie wy, co to jest piechota? hę?

— Juści nie sekret, bo pan major to z mendel razy codzień powtarza.

— Nic, kochanku! — przerwał surowo Michałowski, palec podnosząc do góry. — Piechota — to sedno, jądro, fundament, serce, grunt!

— Choroba... psia mać! — wybuchnął nagle Stadnicki.

Gros major kiwnął z zadowoleniem głową.

— Dobrze, kochanku! Przekonałeś się... kawalerya to... aby rozgony, posyłki, furaże, sztafety, widety, kuryery, ordynanse... choroba i koniec! Nie, nie spieraj się! Byłeś szwoleżerem, aleś urodził się na piechura! Ja ci mówię.... Widzisz, nawet konia sam zjadłeś.

Stadnicki zerwał się z posłania.

— Dosyć!... Nie chcę znać piechoty... psia mać! Dymisya!... Nie lubię... Tu mi jeszcze dopieka!

Opaska z głowy zsunęła się. Krew broczyć zaczęła.

Porucznik omdlał. Żubrowa aż zgrzytnęła zębami.

— Będzie ci wyzdrowienie! Pan major ani krzty serca nie ma! Gdzie mu biedakowi! Głowa rozwalona! Bez czucia!

Major przestraszył się.

— Kochanku! Hej! Gulicza co tchu!

— I na co? Ledwie on naprawi, już ci pan major popsuje!

— Popsuje!... Juści... kiedy mu moja fizys tak opatrzna! Ale bo szkoda go... uważacie, Żubrowa, piechota...

— Znów ci piechota wyjechała!... Doktora potrzeba, bodaj cyrulika! Bandaż krwawi!

Major, porzuciwszy swój wykład o wyższości piechoty nad jazdą, pobiegł szybko do ambulansów.

Niebawem zjawił się doktor Gulicz z cyrulikami, zmienił bandaże, opatrzył rannego i przewrócił znacząco oczyma.

— Jakże, jakże, panie doktorze? — spytała Żubrowa.

— Bezie koronszka!—zaopiniował medyk.— Rumana napasić i pyć! Glofę w simny fodsie umocić. W nogi i brzuch srobić sieplo!

— Co, co mu zrobić?...

— Sieplo!

— Z kubeczek malagi?

Doktór Gulicz zatrząsł się.

— Was ist das? Keine Malaga! Kein Wein! Frau Szubrofa niech bezie temperatur... niech mu nic nie dmucha... Keine Luft! Rumana pyć!

— Piesby się ogonem z tobą rozmówił!...

— Pies? Nein! Z pies będzie dym, feuer schlechte temperatur!

— No, no, już dobrze! Wiem, co mam robić! Gadaj sobie zdrów!...

— Sdrów? Bezie sdrów! Herr leutenant hat eine wunderschoene konstruction.

Gulicz odszedł do lazaretu. Markietanka tymczasem po swojemu zabrała się do chorego. Przy pomocy Pietrka i Zośki, przeniosła go pod nakrycie na wóz, nagotowała odwaru z pomarańczowego kwiatu, wzmocniła bandaże i zarządziła czuwanie.

Stadnicki dyszał ciężko. Gorączka coraz silniejsza go napadała. Równocześnie chorobliwy sen, zamknął mu oczy. Nad wieczorem przyplątała się maligna i szarpała nim. Porucznik co chwila jakąś mocą palony zrywał się, ściągał bandaże, wodził błędnie uchylonemi oczyma i bełkotał wyrazy bez związku.

Żubrowa nie odstępowała Stadnickiego ani na chwilę. Zmieniała zimne okłady, zwilżała usta rannego łagodzącym płynem, poprawiała zsuwające się dery.

Nad ranem markietankę zmieniła Zośka. Maligna trwała dalej. Zośka jeszcze z większą pieczołowitością doglądała rannego.

Noc była zimna, przejmująca. Armaty wyły ponuro. Obóz francuski czuwał. Rezerwy stały ciągle pod bronią, aby odeprzeć spodziewaną wycieczkę oblężonych. Między namiotami z łoskotem i zgrzytem snuły się wozy ambulansowe. Żandarmerya polowa objeżdżała placówki.

Zofia siedziała zadumana u wezgłowia Stadnickiego, wypatrując niecierpliwie brzasku. Noc styczniowa nie ustępowała tak łatwo. Słońce zimowe nieśmiało skradało się z za mórz — nie jego było panowanie, nie jego królowanie.

Stadnicki bredził coraz gwałtowniej. Z ust jego wypadały bezładne wyrazy. Zofia nie zwracała na nie uwagi, zapatrzona myślą w głąb własnej duszy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Mówiłem o towarzystwach katolickich. Niektóre z nich mają za główny cel przeciwważyć towarzystwom masońskim, których tu mnóstwo.

Do jednego z tych towarzystw katolickich, tak zwanych Rycerzy Kolumba, tajnego, tj. nie publicznie posiedzenia odbywającego, dużo nawet księży należy — a i rozmaici biskupi bardzo je protegują. Są także tak zwani Catholici Foresters, czyli „katoliccy leśni". W przeciwstawieniu do innych Forestersów, którzy trącą masoneryą.

Nareszcie jest dużo towarzystw, szczególnie irlandzkich, bądź to jawnych, bądź tajnych, z cechą narodowo-katolicką: najgłówniejsze miejsce jest Amical Order of Hibernians.

Czy z tych towarzystw będą jakie korzyści, czy się zawsze na dobrej utrzymają drodze, jeszcze nie wiadomo. Ale sobór baltymorski bardzo je popiera i z Rzymu także jest poparcie. Prasa katolicka coraz ma więcej organów, niestety wszakże z powodu braku kapitału mało z tych czasopism większą gra rolę, choć niektóre bardzo dobrze są redagowane. Polskie pisma także się poprawiają. Dużo z nich ma już lepszych redaktorów, a i polszczyzna w wielu pismach znacznie lepsza niż dawniej. Wogóle mniej jest kłótni między Polakami w Ameryce niż bywało.

Ultra-radykalny odłam, a z nim razem i odszczepieńcy od Kościoła, t. zw. „wolni katolicy", przycichli znacznie od czasu morderstwa Mac Kinley'a przez Czołgosza, gdyż naturalnie ci panowie bardzo byli skłonni do opinii, bądź to socyalistycznych, bądź nawet anarchistycznych.

Zatem, gdy reakcya nastąpiła po tem morderstwie i straszny powstał krzyk przeciwko wszelkiego rodzaju ekstremistom, dużo z nich się przelękło, i choć może tylko chwilowo, chorągiewkę zwinęło.

Donoszę Ci, że w San Francisco dzięki staraniom zacnego, już 70-letniego dra Pawlickiego dostaliśmy nareszcie księdza polskiego, O. Józafata, Franciszkanina. Młody to Szlązak, bardzo dobrze mówi i czuje po polsku, a gorliwy kapłan.

Korespondencye.

Wiedeń, 27 marca.

(Agitacya ludowców niemieckich z powodu Cylei.— Projekt kompromisu. — Jubilerzy wiedeńscy przeciw konkurencyi paryskiej. — Akcya przeciw stowarzyszeniom spożywczym)

(y.) Niemieckie stronnictwo ludowe, najsilniejsze ze stronnictw niemieckich i mające też z tego tytułu najwięcej pretensyi do wpływu na sprawy państwowe, okazuje się obecnie z powodu sprawy cylejskiej tak samo niedojrzałem politycznie, jak najbardziej radykalne grupy opozycyjne. Urządza ono w rozmaitych miastach niemieckich wiece, na których zapadają uchwały, wzywające stronnictwo niemiecko-ludowe do bezwzględnego przejścia do opozycyi i obalenia budżetu w trzeciem czytaniu, a jeżeli się da, to także i rządu. Ostatnimi dniami odbyły się takie wiece w Gracu, Celowcu, Insbruku, Budziejowicach, a wszystkie miały przebieg bardzo wojowniczy. Z mów, wygłoszonych na tych wiecach, przebija dziwna logika. Oto np. w Gracu dowodził poseł Chiari, że Niemcom bardzo zależało na utrzymaniu parlamentu i że nie robili rządowi żadnej trudności dopóty, dopóki był neutralny, dziś jednak sytuacya jest całkiem odmienna, rząd porzucił swą neutralność, a więc i Niemcy muszą go zwalczać.

W czem rząd właściwie naruszył neutralność, tego p. Chiari nie powiedział, ale cały tok jego rozumowania był tego rodzaju, że neutralnym byłby rząd wtedy, gdyby był wpłynął na rezultat głosowania, pomyślny dla Niemców. W Celowcu przemawiali posłowie Lemisch i Dobernigg i zapowiadali, że jeżeli rząd znów zechce rządzić przy pomocy paragrafu 14-go, to napotka na taką samą spiżową zaporę Niemców, o jaką rozbiły się zamiary Badeniego. Na uwagę zasługują wywody p. Lemischa, wypowiedziane na wiecu w Celowcu, a dotyczące ministra Piętaka, atakowanego tak namiętnie przez całą prasę niemiecką za to, że głosował przeciw rezolucyi hr. Stürgkha. Otóż p. Lemisch uznał za właściwe wziąć dra Piętaka w obronę i rzekł, że jego ten krok dra Piętaka wcale nie gorszy. Miał on zupełne prawo głosować razem ze swymi rodakami i innymi Słowianami, a niemiecki minister rodak w podobnym wypadku byłby tak samo postąpił. Ataków na Koło polskie za to, że tak licznie stawiło się do głosowania, nikt już nie podnosi na tych wiecach, widocznie niedorzeczne te skargi zrodziły się pod wpływem chwilowego rozdrażnienia i dziś sami Niemcy uznają już ich bezsensowość.

Gdyby i na inne szczegóły, dotyczące sprawy cylejskiej, zechcieli Niemcy patrzeć spokojniej, to może przecież udałoby się przed ponownem zebraniem się Rady państwa wynaleźć jakąś jedynie racyonalną drogę kompromisu i usunąć tę kość niezgody. A właśnie chwila obecna nadaje się do tego, bo sami Słoweńcy poruszają myśl kompromisu. Oto wychodzący w Lublanie organ postępowy *Słowenski Narod* pisze, że jakkolwiek zwycięstwo w sprawie cylejskiej napawa Słoweńców radością, to jednak powinni oni pamiętać o tem, że znaczenie jego jest efemeryczne. Ataki bowiem Niemców na paralelki cylejskie powtarzać się będą przy każdej sposobności i to, co się Niemcom teraz nie powiodło, łatwo może się udać niebawem. Paralelki słoweńskie w Cylei wiszą, rzec można, w powietrzu, a wszystkie narodowo-polityczne aspiracye narodu słoweńskiego ograniczać się muszą tylko do ich obrony, do niej też ogranicza się poparcie wszystkich stronnictw prawicy. Gdyby raz zawarto kompromis w tej sprawie, mieliby posłowie słoweńscy swobodniejsze ręce i mogliby rozwinąć o wiele szerszy program działania. Rozumne te uwagi zasługują ze wszech miar na pochwałę i w interesie państwa życzyćby należało, aby obie strony poważnione podały sobie rękę do zgody. Jutro zjeżdżają się w Cylei mężowie zaufania Niemców styryjskich, być może więc, że zechcą zastanowić się nad propozycyą ugodową. Także słoweńscy posłowie ze Styryi odbędą w przyszłym tygodniu zjazd w Marburgu albo Wiedniu.

W wielkiej halli tutejszego ratusza odbyło się wczoraj bardzo liczne zgromadzenie jubilerów wiedeńskich, na którem omawiano znaną sprawę paryskiej firmy Boucheron, której ajenci przemycili do Austryi kosztowności wyrobu paryskiego i obnosili je po tutejszych domach arystokratycznych. Ponieważ taki handel dokomrążny zagranicznymi klejnotami praktykowany jest tu na wielką skalę i wyrządza bardzo dotkliwe szkody miejscowym jubilerom, opłacającym wysokie podatki i bajecznie drogie lokale sklepowe, przeto uchwalili jubilerzy zwrócić się do rządu i do parlamentu z prośbą o wzięcie ich w obronę przez nieubłagane ściganie wszelkiej tego rodzaju kontrabandy. Uchwalono także zwrócić się do jednego z posłów z prośbą, by wniósł interpelacyę do rządu, domagającą się wyjaśnienia, jakiem prawem Namiestnictwo zniosło zarządzoną przez Magistrat konfiskatę owych klejnotów paryskiej firmy Boucheron i dlaczego władza skarbowa, zamiast ze swej strony także orzec ich konfiskatę, wymierzyła Francuzom stosunkowo tak łagodną karę. Dyrekcya skarbowa bowiem nałożyła karę 20.000 koron za ich nieoclenie a 1000 koron za nieostemplowanie. Gdyby zaś ajenci francuscy byli zgłosili na granicy owe klejnoty do oclenia, byliby zapłacili wszystkiego 14 koron cła.

Oprócz jubilerów, także innego rodzaju kupcy tutejsi zabierają się do samoobrony, a akcya ich skierowana będzie przeciw towarzystwom spożywczym, tzw. „Consumvereinom", których konkurencya jest wprost zabójcza dla innych handlów. Oto np. jedno z tych towarzystw, istniejące pod firmą „Erster Wiener Consumverein" sprzedało w roku ubiegłym towarów za 9,699 530 koron i miało po opędzeniu wszystkich wydatków czystego zysku 678.611 koron.

Ósma międzynarodowa wystawa w Monachium.

Ostatnia wystawa w monachijskim „Glaspalaście" nastręcza wiele trudności dla sprawozdawcy, ponieważ znajdowały się tam przeważnie dzieła najmłodszej generacyi, której twórczość, a raczej sposób odtwarzania jest kolosalnie zróżniczkowany, następnie nie było na wystawie tego, co najbardziej nadaje się do krytyki i najbardziej zaciekawia, t. j. kompozycyi, a wreszcie, prócz Niemców, żadnego narodu nie reprezentowali tu mistrze żyjący. Nie było Rodina, Ropsa, nie było Sindinga, nie było Malczewskiego, — a nawet znakomici Niemcy, jak Klinger, Ury, Baluschek nie nadesłali swych dzieł. Można było napotkać różne techniki, różne sposoby malowania, szkoły, szkółki, kierunki. Były tam tylko pejzaże i portrety — gdzieniegdzie ujrzeć można było jakąś trywialną i zużytą scenę rodzajową. Mówić można tylko o tem, co cechuje twórczość tego lub owego narodu. Pozornie znać dążność do samodzielności, a w istocie widać uleganie duchowej przemocy silnego talentu, lub należenie do pewnej „Meisterschuli". Ileż polowania na efekt, polor, a co gorsza — na interes! Stąd nieskończona moc miernot zalegała całe ściany siedmdziesięciu sal „Glaspalastu". — „Der Kunst ihre Freiheit! Der Freiheit ihre Wege!" — niektórzy tłómaczą to sobie, że celem sztuki jest „Glaspalast", dokąd przecież droga każdemu otwarta. Nie można dziś rozprawiać o tem, czy ten lub ów obraz, albo rzeźba jest „modern" lub nie, trzeba je sądzić tak, jak są, bez oglądania się na „manifesty" i „głosy". A jednak najjaskrawszą cechą tej wystawy było zjałowienie tej twórczości i nieszczerość. „Lieber eine ehrliche Reminiscenz, als Unnatur" — powiedział Weingartner — i to zdanie można w całej rozciągłości do tej wystawy zastosować.

Najoryginalniejszą jest sztuka skandynawska, a w szczególności norweska. Znać jeszcze tę świeżą, chłopską surowość i szorstkość; odczuwanie zjawisk przyrody jest twarde, ta skandynawska natura przytłacza swą imponującą, tajemniczą pięknością umysł, nastraja go pesymistycznie, tutaj czuje człowiek, jak nikłym jest wobec przyrody, tu odczuwa swą małość. Na pejzażach skandynawskich widać może nieco sensacyi, z drugiej jednak strony nie można się temu dziwić, gdyż Skandynawia — to kraj najjaskrawszych i najdziwaczniejszych fenomenów w przyrodzie. Te bajeczne noce jasne, późne wieczory ze wschodzącą zorzą północną szalenie pociągają i miło jest uciec z mglistych ulic monachijskich do pejzażów norweskich i szwedzkich w „Glaspalaście". Norwegowie prawdziwiej i szczerzej odczuwają przyrodę — jak wieśniacy, co na jej łonie żyją; Szwedzi zachwycają się nią, jak mieszczuch na wakacyach. Stąd szwedzkie pejzaże mają więcej kontrastów i sensacyi. Tak Szwedzi, jak i Norwegowie posiadają wybitne talenty, które bez kwestyi wkrótce wysuną sztukę rodzimą na pierwsze międzynarodowe stanowisko. Duńczycy, podobnie jak Węgrzy, Austryacy i — rzecz dziwna — Rosyanie, mogliby być zarówno Monachijczykami lub Paryżanami, jak i Berlińczykami lub.. Düsseldorfczykami. Brak im wszelkiego wyrazu. Nie ma żadnego nazwiska wybitnego.

Anglicy, Holendrzy i Belgowie mają bardzo wiele wspólnego, a cechuje ich to, że wprawdzie technika ich jest podziwienia godna, nadzwyczaj umiejętna, ale ani jednego tematu nowego, nigdzie interesującego pejzażu; jak przed 200 i 100 laty, tak i dzisiaj malują doki, okręty, wozy wyładowane, niebo z ciemnemi, jak błoto, chmurami, mgły, bagna osowiałe i... sceny karczemne — jednem słowem, malują wszystko bez wyboru, brak tylko słońca, ciepła i zieloności, brak żywego koloru. Charakter na wskróś realistyczny, tylko kilku prerafaelitów angielskich tchnie wyszukanym neoidealizmem. Ale i naturalizm i zmysłowość rubensowska zastąpiona jest przez anemię, znużenie i atmosferę szpitalną, w najlepszym razie cieplarnianą. I tu brak nazwisk!

Francuzi nie nadesłali wielu dzieł, ale Déchenaud, jako portrecista i Thaulow, jako pejzażysta, podnoszą sztukę francuską do niesłychanych wyżyn; obrazy Francuzów zawsze muszą więzić oko przez swą harmonię między rysunkiem a kolorytem, przez umiejętność malowania. Szwedzi i Norwegowie imponują świeżością i śmiałością, Francuzi coraz większem posuwaniem się naprzód i doskonaleniem się w zdobywaniu nowych środków wyrazu; nie ma tam ani budy jarmarcznej, ani tego, co Niemcy nazywają „grosse Einfalt". Szczerość w kolorycie i oddawaniu nastrojów, mistrzowska psychologia w portrecie, to ich wiecznie trwałe zalety! Bernard maluje kobiety „rasowe", z paryskim szykiem i temperamentem, z pięknością, na której znać wpływ zbytniej kultury — to typy z Maupassanta lub d'Aurevilly'ego. Na wzmiankę zasługuje portret Leona XIII z pod pendzla również wytwornego Benjamin-Constant'a. Rzeźby Vallgrena nie dorównywają ani szwedzkim, ani włoskim, ale są lepsze od wszystkich innych.

U Hiszpanów — podobnie jak u Węgrów — pokutują jeszcze wielkie płótna historyczne i rodzajowe, jako niezbędne „Pièces de resistance". Przeważają portrety; technika z przed pięćdziesięciu lat, nazwisk wybitnych zgoła nie ma.

W dziale włoskim są obrazy Segantiniego z dawniejszych lat, gdy niedawno zmarły mistrz szukał siebie samego, a patrzał na Milleta. To jeszcze Segantini, który był znakomitym wirtuozem i malarzem w tonie, genialnym impresyonistą, ale nie mistrzem linii, stalowej, słonecznej i oślepiającej barwy; dawne pejzaże górskie Segantiniego nie przemawiają do nas swą potężną, pełną ciszy wielkością, jaką czuć w jego „Pługu", znajdującym się w Pinakotece. Jeden z obrazów jego obecnie wystawionych nosi tytuł „Ostatni szał dnia". Widać pochyłość górską, po której schodzi pasterz, niosąc na plecach snop siana, a za nim postępują owce. Nastrój wieczorny tuż po zachodzie słońca przykuwa widza niesłychanie z powodu subtelności, prawdy i pełni czucia. Noc, która ma nadejść, wisi, jak gradowa chmura ze swą grozą, majestatem i przeznaczeniem. Postać pasterza, przepyszna w ruchu, wyrasta do nadludzkiej istoty. Taki sam nastrój wieczorny, bliższy nocy, widać na drugim obrazie p. t. „Miłość w górach". Segantiniego cechuje przedewszystkiem to, że potrafił tematy trywialne zamienić na wzniosłe, czego brak jest jego wielbicielom Szwajcarom i Niemcom. Wpływ jego, a zarazem i Boecklina, znać na wielu obrazach w dziale włoskim i szwajcarskim. Wielką subtelnością odznacza się efektowny „Nastrój wieczorny" Sartorellego. Znacznie lepszą, aniżeli malarstwo, jest rzeźba włoska, reprezentowana przez Romola Del-Bo („Nieśmiertelność") i Quadrelliego („Fragment z nagrobka"). Znać tutaj nadzwyczajne poczucie formy, widać, że ci dwaj artyści stoją pod wpływem wrażeń, doznanych w muzeach, kształcą się na dziełach Michała Anioła i Grecyi. Jeżeli wyżej nie wspomnieliśmy o rzeźbie szwedzkiej, to tylko dlatego, aby tu przeprowadzić porównanie jej z włoską. W szwedzkiej forma jest surowa, rysy i wyraz twarzy nieco kanciasty, ale śmiały, niemal krzyczący; włoską rzeźbę cechuje szlachetność linii, nieraz posunięta do przesady, łagodność i rysy skończone, harmonijne. Szwed rzeźbi z całą namiętnością; zdaje się, że jego ludzie połamią w pochodzie wszystko, co napotkają — to atleci w imię własnych uczuć, w imię bolów i rozkoszy, którzy kładą całą duszę w swój czyn, bez względu na jego skutki. Włosi lubią wzniosłą myśl, powagę klasyczną — znać, że patrzą ciągle w swą przeszłość; nietrudno dopatrzyć się w niejednej rzeźbie włoskiej teatralnej koturnowości. Szwed Teodor Lundberg obrał temat podobny, jak Rodin i Vigeland, których tu, niestety, nie ma — tj. „Brzeg i fala". Brzegiem jest mężczyzna, falą kobieta. Myśl prosta, nie potrzebująca komentarzy! Rzeźba Lundberga jest najlepszą na obecnej wystawie. Nawiasem wspomnimy, że Szwecya odstąpiła od ubiegania się o medale. Dumny i pewny siebie lud.

Technikę Segantiniego przejęli niektórzy Szwajcarzy; patrząc np. na obraz Giacomelliego p. t. „Żniwo", niewiadomo, czy to nie Segantini, jeżeli się nie ma katalogu. Dłużej przypatrując się, spostrzegamy różnicę w kolorycie. Najwybitniejsi ze Szwajcarów są: Welti i Hodler, przypominający potężną rytmiką linii dzieła Chavannes'a — tudzież akwaforcista Anuer.

Niemcy, jak zwykle, okazują dużo pracowitości, dużo sumienności w studyach, ale mało skłonności do śmiałych pomysłów, do idei. Pejzaże są malowane na zimno, rzec można — w pokoju. Wiele z nich robi wrażenie barwnych fotografii. Artyści niemieccy są ostrożni; malując ostrożnie, z rezerwą, wpadają w połowiczność. Stąd mniej u nich obrazów złych lub dziwacznych, ale bardzo wiele miernych. Jest zrozumienie, ale brak odczucia, mało subjektywności, zgoła brak potężnych indywidualizmów. Przechodząc przez dział niemiecki, doznaje się znużenia większego, aniżeli po przeglądzie wszystkich innych działów. Pomijamy już starych mistrzów: Lenbacha i Kaulbacha; znamy ich cechy, znamy ich technikę, wiemy, że portrety ich są zawsze pod względem technicznym i psychologicznym skończone.

Osobne sale otrzymały dzieła dwóch niedawno zmarłych artystów: Leibla (1844—1900) i Gysisa (1842—1901). Wilhelm Leibl był jednym z tych, którzy się odznaczali wielką umiejętnością malowania, którzy uwolnili malarstwo od scen historycznych i rodzajowych, i od literatury. Zajmuje w Niemczech takie same niemal stanowisko, jak we Francyi Courbet. Malował wszystko, ale główny nacisk kładł na wyzyskanie środków malarskich, i w tem okazał się mistrzem. Jego postacie odznaczają się wielką powagą i spokojem, często zbytnim chłodem. Jego sceny rodzajowe są czemś więcej, niż scenami rodzajowemi, albowiem wszędzie towarzyszy im głęboka myśl lub szlachetna, wcale nie tuzinkowa tendencya. Jeżeli Leibl był sumiennym w wykończeniu, to Mikołaj Gysis odznaczał się wielką śmiałością — w szkicowaniu. Obrazy jego są bardzo subtelne, technicznie bardzo oryginalne, ale bez głębszej myśli, a jeżeli chciał ją uwidocznić, to popadał w przesadę i dekoracyę. Podziwiać można u niego wielką satyrę i pewność siebie, więcej żądać nie można.

Osobną salę otrzymały także dzieła Boecklina, obejmujące kolejny rozwój jego twórczości. Najwięcej obrazów jest z lat dawnych. Do najgenialniejszych należą: „Willa nad morzem", „Portret własny", „Gaj święty", „Herakles", „Faun grający na muszli", „Triton i Nereida", „Walka Centaurów" — są to zanadto znane, podziwiane, opisywane i omawiane arcydzieła, aby o nich tutaj mówić. Dla każdego zwiedzającego „Glaspalast", jest sala Boecklina świątynią, z której płynie czar i rozkosz niepojęta. Anglicy zdejmują tu kapelusze.

Charakterem zbliża się do Lenbacha portrecista Samberger, u którego widać technikę zaniedbaną; główny nacisk kładzie na wyraz twarzy.

Z pośród wielkiej masy bardzo przeciętnych pejzażystów, wybija się na pierwszy plan Petersen. Trudno spotkać dziś malarza, któryby subtelniej i sumienniej wystudyował morze. Boecklin ożywia ten potężny żywioł postaciami pełnemi życia i namiętności, postaciami rozhukanemi w szalonych rozpędach i pogoni za zdobyczami.

U Petersena morze jest zimne, kryjące w sobie hydry, czyhające na zdobycz, morze niegościnne, złowrogie, pełne strasznych zagadek, morze podbiegunowe. Również, jako malarz morza odznaczył się Böhme. Potęgę i grozę w przyrodzie przedstawiał nader plastycznie Adolf Stäbli, pejzażysta. W dziale „Secesyi" panuje oczywiście Stuck. Nie jest to już ten Stuck, którego „Wojna", „Grzech", „Szatan" i „Furye" imponowały siłą szataniczną, wielką myślą, przejmującą do głębi apoteozą zła i zniszczenia. Dziś widać u niego wysiłek myśli, efekt. Jego „Sfinks" jest najprostszym aktem kobiecym, narysowanym i namalowanym po mistrzowsku, ale nie Sfinksem. Młody Bacchus nie posiada wcale tej zachwycającej naiwności i rubaszności, ani pełni życia, jakie widzimy u Boecklina. Natomiast w kilku portretach kobiecych uderza wielka technika i wieje czar niesłychany. W każdym razie obecne jego obrazy pozostają daleko w tyle po za dawnymi.

Od czasu, jak Maks Klinger znowu sztukę graficzną ożywił, zaczęto się akwafortom coraz pilniej oddawać i posunięto technikę w tym kierunku znacznie naprzód. Zarówno Niemcy, jak i Holendrzy posiadają wielkich akwaforcistów-wirtuozów, ale brak im ducha twórczego, i żaden z nich nie dorównywa Klingerowi.

Wiedeńscy artyści umieścili pejzaże i portrety, odznaczające się finezyą, subtelnością i afektacyą, ale niczem więcej. Najsłynniejszy z Wiedeńczyków, Gustaw Klimt, mający wiele wspólnego z francuskim Besnardem, zarzucił malowanie pejzażów i przeszedł na pole symbolu i alegoryi. Na tegoroczną wystawę nadesłał „Medycynę", jeden z fresków, przeznaczonych do auli uniwersytetu wiedeńskiego. W jego „Medycynie" jest reprezentowana przedewszystkiem ginekologia... Kobiety Klimta są to przeważnie „vollbluty" wiedeńskie, palone gorączką nadzwyczajności, kobiety wytworne, nerwowe i — pięknie zbudowane. W „Medycynie" widać wir, chaos, zamęt, ale nie widać ani alegoryi, ani myśli. Alegorya „Medycyny" mogłaby u Klimta być alegoryą śmierci i cierpienia, gdyż wśród nieżywych i dogorywających postaci figuruje szkielet. Nigdzie niema zaznaczenia, iż medycyna jest dobrodziejstwem ludzkości. Czyżby Klimt krył w sobie subtelną, jak jego pociągnięcie pendzla, ironię? Również bez wyrazu jest „Muzyka". Piękna kobieta, z mniej więcej bezmyślną fizyognomią, trzyma w ręku grecką cytarę — ot wszystko! Klimt jest świetnym stylizatorem, ma własną oryginalną śmiałość, ale gdy chodzi o symbol lub filozofię, popada w dekoracyę i ostentacyę.

Ze Słowian najliczniej stawili się Rosyanie. Nie widać tam samorodności, ani zagłębienia się w ideę, brak zupełny oryginalności, ale są talenty bardzo silne, w technice nie ustępujące ani Niemcom, ani Anglikom.

Kustodiew, Repin i Seidenberg, jako portreciści i Dubowskoj, Kjellin i Ryłow, jako pejzażyści, są to bardzo szanowne i pełne zapału talenty; o ile znamy sztukę rosyjską, jesteśmy pewni, że nie nadesłali Rosyanie swych najlepszych i najoryginalniejszych rzeczy. Polaków prawie nie widać! Nie było tam naszego, prawdziwie naszego Tetmajera, ani genialnego symbolisty Malczewskiego, ani ponurego i rozpływającego się w średniowiecznym mistycyzmie Wyspiańskiego, ani wykwintnych portrecistów i pejzażystów: Fałata, Mehoffera, Pieńkowskiego, Chełmońskiego, Stanisławskiego i Wyczółkowskiego, ani bajecznie zamaszystego Ruszczyca! Zaś ci artyści polscy, którzy nadesłali swe prace (Aksentowicz, Kowalski, Kotowski, Pochwalski i inni), nie reprezentują sztuki polskiej tak, jak powinna być reprezentowaną. Przypuszczamy, że tryumfy i medale z ostatniej paryskiej wystawy wzbudziły zaufanie w swe siły artystów, którzy nie troszczyli się o obesłanie wystawy monachijskiej. Czy tak powinno być? Zostawiamy tę kwestyę do rozstrzygnięcia świadomym rzeczy czytelnikom.

W „Secesyi" wiedeńskiej były dwie rzeźby Biegasa „(Koniec świata" i „Rozmowa myśli"), które należały do najoryginalniejszych na wystawie i budziły znaczne zainteresowanie — choć i nieufność u Niemców. Tyle tylko nadmieniamy, iż słyszeliśmy, jakoby jeden z profesorów akademii monachijskiej miał się wyrazić, że gdy Biegas dojrzeje, będzie jednym z największych rzeźbiarzy.

Co i o czem piszą.

Wędrowiec porusza sprawę nadużywania jadła i napojów, praktykowanego w całej Polsce podczas świąt Wielkanocnych. Ulegając tradycyi, mnóstwo ludzi, nawet z pewnym przymusem, je i pije w te święta tyle, że później przypłacać to musi chwilowem lub nawet trwalszem niedomaganiem żołądka. Otóż autor wspomnianego artykułu, biorąc rzecz ze strony humorystycznej, opowiada, że pewien malarz namalował tryptyk p. t. „Wkraczanie wszechprzyrody do żołądka ludzkiego w czasie Wielkiejnocy", i tak dalej pisze:

Obraz przedstawia człowieka współczesnego, reprezentującego całe społeczeństwo. U postaci, prześwieconej najmocniejszym z aparatów Roentgena, widać żołądek, wyobrażony pod formą bramy, do której mąż w todze tradycyi wpędza i nagromadza wszystko to, co członkowie społeczeństwa unicestwią w ciągu ledwie dwóch dni świątecznych. Tak więc do żołądka ludzkiego tradycya wprowadza wielkie stada inwentarza rogatego, niezliczone sztuki trzody chlewnej, setki tysięcy drobiu, oraz jaj, nad których zniesieniem kury pracują już od dwóch miesięcy. Dalej widzimy liczne pociągi kolei żelaznych, wiozące do żołądka ludzkiego tysiące okseftów napojów wszelkiego rodzaju, a młyny wietrzne i parowe zasypują aż do jego głębi miliony funtów mąki.

Obraz, o którym wspominam, jest tryptykiem. Z prawej strony artysta wyobraził „kraje tropikalne, ujarzmione przez apetyt Warszawy i rozległej okolicy". Krajobraz upstrzony drzewami migdałowemi, figowemi, pomarańczowemi, krzewami rodzynkowymi itp. Po środku stoi plantator i wielkim batogiem popędza nieszczęśliwych murzynów, powtarzając co chwila, (bo trzeba wiedzieć, że geniusz potrafi namalować nawet dźwięki mowy):

— A nuże, zwijać się, tu nie ma ani chwili do stracenia. Wielkanoc za pasem, trzeba nakarmić tych (wskazuje w naszą stronę) żarłoków!

Z lewej strony wielki artysta, z właściwym sobie geniuszem, jeszcze nic nie namalował. Smutne skutki nieposzanowania praw żołądka artysta namaluje dopiero później.

Obraz, wystawiony w salonie oddzielnym, — rzecz godna rozpaczy, na naszych gospodyniach żadnego zgoła wrażenia nie wywarł. Jedna z moich znajomych odwiedziła wystawę, zachwycała się szczegółami płótna wiekopomnego, a następnie przyszła do domu i rzekła do małżonka:

— Proszę cię, moje życie, o pieniądze na święcone.

— Jaką sumę mianowicie?

— Daj, kochanie, o ile możności jak najwięcej. Lub powiem ci realniej: oddaj mi wszystko!

Teraz czytelnicy mogą przekonać się dowodnie, jak potężnie oddziaływają na nasze panie sztuki plastyczne w porze przedświątecznej. Z tego dopiero widzimy, jak zgubnymi są wpływy tradycyi na dzieła genialnych mistrzów pędzla.

A teraz rzucę jedną, jedyną uwagę:

— Bardzo to pięknie, nadobne panie, że krzątając się około urządzenia święconego, macie jedynie na myśli obudzenie ruchu handlowego i dźwignięcie przemysłu. Czy jednak która z was zastanowiła się chociażby przez chwilę, iż wprowadzaniem do organizmów waszych rodzin rozmaitych darów przyrody, najniesprawiedliwiej na świecie gwałcicie prawa należne żołądkowi? I cóż wam ten żołądek zawinił, że godzicie na jego ważne i szlachetne stanowisko w ciele ludzkiem? Czemże się on wam naraził, że w czasie ogólnego odpoczynku i świętowania, skazujecie go na ustawiczne niepokoje i ciężkie roboty?

Istnieją już Towarzystwa opieki nad matkami i dziećmi, nad kobietami w ogóle, a wreszcie nad zwierzętami. Tylko o „Towarzystwie opieki nad żołądkami w porze wielkanocnej" nikt dotąd nie pomyślał. Nikt nie wystąpił z inicyatywą urządzenia przytułku dla żołądków, steranych ciężką pracą długiego życia. Nikomu nie przyszło na myśl, aby ufundować zapis dla rozdawania nagród żołądkom, które najdłużej i najwierniej służą jednemu panu, jak to już jest praktykowane z wiernymi sługami.

Otóż w porze, gdy wszyscy zbroją się przeciwko tym swoim własnym żołądkom, gdy gospodynie, uzbrojone w noże i warząchwie, przygotowują przeciwko nim walkę bezlitośną i nie znającą pardonu, ośmielę się wystąpić z wnioskiem:

— Szanowne panie, więcej szacunku i względu dla żołądków!

Mały fejleton.

PIĘKNA.

Północ wybiła.

W salonie pani Laury nastała cisza, przerywana tylko chwilami głośniejszą licytacyą wistową, dolatującą z trzeciego pokoju, i flirtem pani Ireny, która dotrwała na pobojowisku i... dobijała jakiegoś poetę w dyskretnej framudze okna.

— Nie przeszkadzajmy im—szepnęła gospodyni domu i wysunęła się ze mną do buduaru, przylegającego do głównego salonu.

Jest to kobieta, pomimo lat 45ciu, jeszcze przedziwnie piękna. Szlachetna głowa o klasycznych liniach, figura jakby dłutem Fidyasza ciosana, lubo już z pewną skłonnością do tuszy, oczy spokojne i duże, usta subtelne w rysunku, choć trochę twarde, jakby żalem długiej rezygnacyi ścięte; taką wydała mi się pani Laura, o której cały świat mówi, że piękna, i nic więcej powiedzieć nie może. Siedziała w swoim majestacie urody greckiej, jakby w tej chwili rzeźbić ją miał artysta dawnej Helady. W salonie sąsiednim flirt pani Ireny stawał się coraz cichszy.

— Jak ja tej Irze zazdroszczę — westchnęła smutnie.

Podniosłem ku niej oczy zdziwione

— Wiem, wiem, co mi pan powie w tej chwili. Że jestem piękną, stokroć piękniejszą od tamtej, która nic nie ma prócz pikanteryi drażniącej. A jednak, wierzaj mi pan, jabym się chętnie z nią zamieniła, bo ona wiecznie jest kochana, a ja nią nigdy nie byłam.

— Nigdy?

— Tak, panie, dziś mogę już się przyznać do tego. Czytałam niegdyś jakąś nowelę niemiecką (zdaje mi się, że autorem jej jest Tovote), przypominającą przedziwnie moje własne losy. Tamta z noweli musiała być tak piękna, jak ja nią byłam przed dwudziestu laty, i, jak ja, wyszła za mąż dlatego, że... no! że gdy się ma lat dwadzieścia pięć, dłużej panną zostać nie wypada. We dwa lata po ślubie wiedziałam już, że mąż mój kocha się w innej, a wokoło mnie były szmery podziwu i... pustka. Jak za tamtą z noweli, tak i za mną obracały się wszystkie oczy. Gdy szłam ulicą, w oczach wszystkich mężczyzn widziałam tryumf mojej piękności. Wszyscy wpatrywali się we mnie, nikt za mną nie poszedł. Chwilami zdawało mi się, że jestem statuą marmurową na piedestale wysokim i że wokoło mnie znajduje się krata, broniąca dostępu. „Piękna Laura" — to była etykieta moja, straszna etykieta. Paradoks, nieprawdaż? Ale w marmurach nie kochają się ludzie, a ja wydawałam się wszystkim tylko marmurem cudownym.

Nerwowo ściskała w ręku chusteczkę batystową, oczy jej łzami nabrzmiały. Po długiej chwili milczenia znów mówić zaczęła:

— Nigdy przedemną żaden mężczyzna nie klęczał, spoglądano na mnie, jak na dzieło sztuki. Nigdy nikt mnie nie pożądał... Raz tylko... prawda... ale ja wolę panu opowiedzieć ustęp z noweli Tovotego. Otóż ta moja siostra bliźnia znalazła wreszcie mężczyznę, który nietylko podziwiał, lecz kochał. I była mu tak wdzięczna za to, że duszą całą rwała się ku niemu. Razu pewnego, pod koniec rautu wielkiego, siedzieli we dwoje, w buduarze ustronnym. Zdala dolatywał ich gwar stłumiony, a on w słowach urywanych, w dźwiękach zamglonych chciał coś wyrazić, a mówić się lękał. I była to chwila, że jakiś rozkoszny niepokój, jakieś wielkie pragnienie i strach cudowny, strach, nieznany dotąd tej mojej siostrze, opanował jej całą istotę. Była to chwila takiej ekstazy, w której ukochany mężczyzna może wszystko powiedzieć, w której ramiona prężą się do uścisku.

Nagle on umilkł i spojrzał zdziwionemi, prawie przerażonemi oczyma. „Piękna Laura" drgnęła, bezwiednie spojrzała w ogromne lustro, wiszące naprzeciw i ujrzała twarz wykrzywioną, okropną, twarz swoją, tak obcą, tak inną, z dzikiemi oczyma, z wypiekami na twarzy. Każda cząstka tej twarzy kłóciła się z drugą, była to larwa, była to parodya namiętności. Zdołała tylko wybełkotać: „Słabo mi, przepraszam", uciekła do swego pokoju i zapłakała rzewnie.

— A potem?

— Potem obtarła łzy, bo od samej młodości tłómaczyła jej matka, że łzy szkodzą piękności. I odtąd już nigdy nie kusiła szczęścia. U takich piękności temperament staje się karykaturą, zepsuciem rzeźby klasycznej, potwornością śmieszną. Im nie przystoi uczucie. To był jedyny wypadek życia mojego.

W tej chwili wsunęła się do buduaru pani Ira ze swym bladym poetą. Mała, żywa, nerwowa, o cerze nieczystej, z noskiem ruchliwym, kokietująca każdym ruchem i każdem spojrzeniem. Była prawie brzydka, a jednak, gdy mówić zaczęła lub śmiać się cicho, kusząco, gdy drobną nóżką drażniła wielkiego doga, swego nieodstępnego prawie towarzysza, gdy bawiąc się pękiem breloków u pasa, pochylała główkę, podnosząc tylko od czasu do czasu zmrużone powieki; gdy walcowała z miną upojenia, taka oddana, taka wiotka, w tualecie zawsze rafinowanej, drażniąca jakimś zapachem oryginalnym, wtedy szły za nią oczy męskie, błyszczące, chciwe, na śmierć rozkochane. Zresztą to wszystko, pomimo całej przewrotności, było dosyć niewinne. Ira tylko żyć nie mogła bez uwielbień, prowokowała, mąciła i śmiała się do rozpuku nad każdym listem miłosnym, który jej poczta przyniosła. A była brzydką!

— Czemu nie jestem tak piękną, jak ty? — zawołała, ściskając panią Laurę.

— Czemu nie jesteś podobną do ciebie? — odpowiedziała przyjaciółka z marmuru. — Kochają cię wszyscy, szaleją, uwodzą, gotowi robić głupstwa za głupstwem.

Pani Ira spojrzała z pode łba na chmurnego i uśmiechającego się ironicznie poetę.

— A wiesz ty, kto gotów największem popisać się głupstwem? Poeci.

KRONIKA.

Lwów 29 marca.

Serdeczne życzenia Wesołych Świąt zasyłamy wszystkim czytelnikom i przyjaciołom naszego pisma.

Deportacya X. biskupa Zwierowicza. *Nowa Reforma* otrzymuje z Wilna z bardzo pewnego źródła wiadomość, że X. biskup Zwierowicz „na czas nieokreślony wyjechał na północ". To znaczy, że go wysłano zapewne do Archangielska albo do Permy.

Wiadomości urzędowe. Minister kolei zamianował dyrektora gal. krajowego Biura kolejowego Stanisława Kułakowskiego zastępcą członka państwowej Rady kolejowej.

Bankructwo we Lwowie. Sąd krajowy otworzył konkurs do majątku firmy „J. Als, galic. biuro spedycyjne i handlowe we Lwowie". Zarządcą masy konkursowej ustanowiony został adw. dr. Kwolewski.

Śluby. Dnia 9 kwietnia o godzinie 12 w południe odbędzie się w kościele parafialnym w Bełku ślub panny Maryi Morawskiej, córki pp. Władysławów Morawskich z Odrzechowej, z dr. Ernestem Truskolaskim.

Ślub p. Stanisława Boguckiego, artysty teatru Nowości w Warszawie, z panną Różą Rapacką odbędzie się 1 kwietnia w Warszawie.

Aresztowanie. Wczoraj aresztowała policya lwowska stręczyciela sług Harasyma Pasławskiego, oraz mamkę Rozalię Sarwas. Pasławski namawiał sługi, którym nastręczył miejsce, aby uciekały ze służby, gdyż on im da lepszą, a za tę lepszą kazał sobie znowu sowicie płacić. Tak np. niedawno umieścił był Rozalię jako mamkę u państwa Christów i za to pobrał od nich 7 koron; w dwa dni potem kazał jej stamtąd uciec i nastręczył jej miejsce mamki u pp. Balów, za co także kazał sobie zapłacić 7 K. Próbował jednak wnet i stamtąd ją zabrać, a dać inną, znowu niby lepszą służbę; w tym celu namówił ją, aby udawała brak pokarmu, mamka istotnie przez 3 dni pokarm swój wyciskała na ziemię, a dziecko głodziła, aż się rozchorowało. Zawezwany lekarz stwierdził, że dziecko jest zagłodzone. Państwo Balowie udali się wtedy na policyę z prośbą, aby aresztowano Sarwasową, co też, gdy się stało, nikczemna mamka przyznała się do winy, że umyślnie dziecko głodziła i opowiedziała wszystko o namowach Pasławskiego. Policya też natychmiast aresztowała tego niesumiennego stręczyciela i oddała go potem, jak i Sarwasową, do sądu karnego.

Polski komisarz Ziemi św. Dla strzeżenia Jerozolimy i innych pamiątkowych miejscowości w Ziemi świętej od profanacyi, istnieje t. zw. komisarz Ziemi św., który w każdym katolickim kraju zbiera ofiary, które przesyła OO. Franciszkanom, sprawującym czynną opiekę nad temi religijnemi pamiątkami. Dotąd na całą Austryę i Węgry był tylko jeden komisarz, mieszkający w Wiedniu, we Włoszech jest ich 9, we Francyi 2, w Niemczech 1. Obecnie ustanowiono dla Galicyi osobnego komisarza i powierzono ten urząd O. Joachimowi Maciejczykowi, eks-prowincyałowi dawnych OO. Reformatów, mieszkającemu we Lwowie przy kościele św. Andrzeja, ul. Bernardyńska 3.

Z jaskini gry w Monte Carlo. Z Nizzy piszą: Wśród całego szeregu lekkoduchów, tracących pieniądze na grę ruletową czy w trente et quarante nie zbywa i na naszych rodakach. Dawniej była to szlachta, zwłaszcza z Podola, a stąd ironiczno-historyczny okrzyk Bismarcka: jedzie do Monaco! Dziś ze sfer ziemiańskich naszego, oprócz kilku pozłacanych młodzieńców, nikogo się w szulerni nie spotyka. Natomiast grają dorobkiewicze. Jeden z nich, bawiący tu od paru miesięcy, zdążył niebawem ruletowemu przelać około 100.000 franków. Jegomość ten niemal co tydzień telegrafuje do Warszawy o przysłanie mu przekazem na Credit Lyonnais 5 do 6 tysięcy rubli, w nadziei odegrania się. Oczywiście, że sprawdza się na nim przysłowie: „nie za to ojciec bił syna, że grał i przegrał, ale że się odgrywał".

Inny znów Warszawiak, człowiek starszy i ojciec rodziny, sprzedawszy pewne przedsiębiorstwo za 80.000 rubli, zjechał tu z żoną i synami na odpoczynek. Wszyscy grają według różnych systemów, ale w dotychczasowym ich wyniku około 30.000 rubli zostawili w szulerni.

Innemu z naszych rodaków, który przyjechał zaledwie z kilkoma tysiącami franków, udało się wygrać 40.000 franków. Poradzono mu, aby zadowolił się tą wygraną. Usłuchał i odjechał do Genui, potem do Rzymu i Neapolu, gdzie dobrze używał wygraną. Wrócił tedy do Monte Carlo i przez jedną dobę wszystko przegrał. Zgrany wpadł w rozpacz i otruł się w wagonie, dążącym do Nizzy. Uratowano go, ale jest chory, niedołężny, bo nadział nie ma przyjścia do zupełnego zdrowia. Oczywiście, że gdyby nie skłaniała rodaków, z głośnem... która się przyznaje.

Konsul w niebezpieczeństwie. Konsul angielski w Neapolu sir E. Rolfe napisał w jednym z podręczników podróżniczych angielskich słowa: „Neapolitanki są piękne i inteligentne, lecz nie mają żadnych zasad etycznych; kłamią i kradną z wielką bezczelnością". Zdanie to wywołało w całym Neapolu wielkie oburzenie; wczoraj uchwaliła rada miejska zwrócić się do rządu z wezwaniem, by się postarał o odwołanie konsula. Także w parlamencie będzie ta sprawa poruszona.

Sir Rolfe powiedział do jednego ze sprawozdawców *Corriere di Napoli*, iż wspomniany podręcznik jest wznowioną edycyą wydanej przed 15 laty książki, w której nie myślał obrazić Neapolitanek, ale chciał tylko przestrzedz w ten sposób podróżnych przed złodziejami kieszonkowymi. Konsulat angielski i mieszkanie p. Rolfe jest teraz pod silną strażą policyjną.

Przeistoczenie morza Azowskiego w jezioro. Jak wiadomo, porty morza Azowskiego, będące ogniskami wywozu zboża, wytwarzanego w Rosyi południowej, mają zbyt nieznaczną głębokość, jak n. p. port w Taganrogu 2·2 metra, w Rostowie 2·4 m., by mogły być dostępne dla statków morskich. Do tych ostatnich należy więc dowozić transporty na płytkich statkach. Przeładowywanie i inne trudności pochłaniają wiele czasu i kosztów. By tę niedogodność usunąć, rząd zamierza podnieść poziom morza Azowskiego, zamykając cieśninę kerczeńską, która łączy wody Azowskie z morzem Czarnem.

Cieśnina jest dosyć wąska, bo w najszerszem miejscu nie przekracza 3250 metrów i dość płytka, bo na tej linii głębokość 8 metrów spotyka się tylko na przestrzeni 1210 metrów, więc urządzenie tamy w poprzek cieśniny nie spotka nadzwyczajnych trudności. Rzeczny wpływ wód z morza Azowskiego do Czarnego jest taki, że po zatamowaniu poziom morza podniesie się nadzwyczaj prędko i tyle, że porty staną się dostępne dla statków morskich. Zastawy, pomieszczone w głębszych miejscach cieśniny, otworzą dostęp statkom morskim i dadzą możność regulowania poziomu dowolnie.

Koszta budowy tamy obliczone są na 6 i pół miliona rubli; około 2 i pół miliona rubli wypadnie wypłacić mieszkańcom brzegów, jako odszkodowanie za wtargnięcie wód na ich posiadłości.

Ofiary. Na odbudowę spalonej części klasztoru na Jasnej Górze nadesłał M. H. T. ze Szkła 2 K.

Zmarli. We Lwowie Józef Hanke, kupiec, lat 80. Dr. Edward Feiles, adwokat, lat 73. — W Krakowie Tomasz Zapała, emer. nauczyciel szkół ludowych, lat 74.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 1, w poł. + 4 R. Bar. 762. Idzie w górę. Pochmurno, chwilami śnieg.

W zapale.

Redaktor. Pański opis pożaru w dzisiejszym numerze nikogo nie wzruszy. Zobacz pan, jak to Schiller opisał w swoim „Dzwonie". Jakiby z niego był reporter! Nie to, co pan!

Szczyt zazdrości.

— Co robisz, Maniu? Dlaczego wyjmujesz fotografię twego męża z mojego albumu?

— Chcę go umieścić inaczej. Włożyłaś go pomiędzy dwiema damami.

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Jutro w niedzielę o g. 3 po poł. na dochód Tow. wzaj. pom. artystów sceny lwowskiej „Jaś i Małgosia" opera fant. w 3 akt. a 5 odsł. Humperdincka. Wieczorem o godz. 7mej na dochód Tow. wzaj. pomocy artystów sceny lwowskiej po raz IVty „Pan Wołodyjowski" opera w 3 aktach Henryka Skirmuntta. — W poniedziałek o godz. wpół do 4tej po południu „Wesele" dramat w 3 aktach Stanisława Wyspiańskiego. Wieczorem o godz. 7mej po raz VIIImy i ostatni w tym sezonie „Latający Holender" romantyczna opera w 3 aktach R. Wagnera. — We wtorek o godz. 3ciej po poł. „Zaczarowane koło" baśń dram. w 5 aktach L. Rydla. Wieczorem o godzinie wpół do 8mej po raz XIVty i ostatni w tym sezonie „Cyganerya" opera w 4 akt. Pucciniego. Pożegnalny występ Ireny Bohuss. — We środę po raz Iszy (wznowienie) „Ruy Blas" dramat w 5 aktach Wiktora Hugo.

Zwraca się uwagę Sz. Czytelników na konkurs Filharmonii lwowskiej.

Literatura i sztuka.

* **Pomników Krakowa**, wydawnictwa wykwintnego, zawierającego reprodukcye rysunków i obrazów Maksymiliana i Stanisława Cerchów, wychodzącego w Krakowie, ukazał się zeszyt 23. Zawiera on 12 tablic. Szczególnie podnosimy tablice przedstawiające: pomnik Jakóba Roszkowicza w kościele OO. Franciszkanów w stylu renesansowym, bardzo starą płytę grobową Leszka Czarnego († 1270 r.) z kościoła OO. Dominikanów (styl gotycki), drzwi bronzowe kaplicy Zadzika w katedrze (barok). Tekst objaśniający, pióra Feliksa Kopery, zawiera dalszy ciąg historyi renesansu polskiego w epoce Zygmuntowskiej.

* **Architekta**, wspaniałego miesięcznika poświęconego architekturze, budownictwu i przemysłowi artystycznemu, wychodzącego w Krakowie, ukazał się zeszyt 3 rocznika III. Zawiera on artykuły: Witraże na Wawelu, Pierwsze kroki naszej sztuki stosowanej, Hafciarstwo kościelne i kronikę zawodową, a oprócz tego dodatek objętości arkusza druku pt. „Wiadomości budowlane". Dział ilustracyjny obejmuje, oprócz licznych rycin w tekście, pięć tablic, które przedstawiają: Polichromie kościoła Maryackiego w Krakowie (dzieło Matejki), kościół św. Krzyża w Krakowie, meble z konkursu Muzeum przemysłowego we Lwowie, Kasyno urzędnicze w St. Pölten i kościół protestancki w Wiedniu (te dwa ostatnie dzieła arch. Sowińskiego).

Część ekonomiczna.

Wiedeń 27 marca.

(Z) Śmierć Cecyla Rhodesa zwiększa nadzieje rychłego zakończenia wojny w południowej Afryce. Tak przynajmniej zapatrują się na sprawę wszystkie giełdy, nawet najkompetentniejsza z nich, t. j. londyńska. Gdy rozeszły się pierwsze wiadomości o śmiertelnej chorobie Rhodesa, obawiano się, że zgon tego człowieka wywołać musi na giełdzie londyńskiej ogromne przewroty i dlatego wielu spekulantów rzuciło się do sprzedaży afrykańskich akcyi kopalnianych, tymczasem Rhodes umarł, a giełda londyńska uznała za właściwe podnieść znacznie kurs konsoli angielskich i akcyi afrykańskich i nie bała się uczynić tego w przededniu czterodniowej feryi świątecznej, podczas której giełda będzie zamknięta. To stanowisko targu londyńskiego nastraja dobrze i inne giełdy, to też i u nas tendencya była dziś dosyć silna, a kursa wielu walorów podniosły się. Z Berlina donoszą, że jakkolwiek subskrypcya na nową 4-procentową pożyczkę rosyjską odbędzie się dopiero 3-go kwietnia, wszelako już teraz interesują się spekulanci tamtejsi bardzo tą nową rentą rosyjską i prowadzą dosyć znaczny handel w tych, na razie jeszcze nieistniejących walorach. Płacono za nie dziś po $98^3/_4$ za 100, a więc o $1^1/_4$% powyżej kursu emisyjnego, oznaczonego, jak wiadomo, na $97^1/_2$.

Z powodu ultima podrożała cokolwiek i u nas gotówka w eskoncie prywatnym, bądź co bądź jednak pierwszorzędne firmy otrzymać ją mogą z łatwością na $2^1/_2$, a nawet na $2^7/_{16}$%. — Z Pragi donoszą, że Zarząd tamtejszej giełdy towarowej zamierza wdrożyć akcyę przeciw uchwalonemu przez subkomitet Rady państwa przedłożeniu o handlu terminowym zbożem i niebawem zwoła wiec delegatów wszystkich giełd towarowych w Austryi.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 696·75, węgierskie 710·00, Anglobanki 285·50, Uniony 561·00, Bankvereiny 463·00, Länderbanki 422·50, Ludwiki 422·10, Czerniowieckie 566·00, Elbethale 470·00, Renta papierowa 101·70, srebrna 101·50, austryacka złota 120·80, austr. renta wal. kor. 99·35, węgierska złota 119·85, węgierska renta wal. kor. 97·55, dukat 11·33, 20-franków. 19·08—, 20-markówka 23·47—, rubie 2·54—

Sprawozdanie targowe Lwowskiej izby kupieckiej. Lwów, 28 marca. (Ceny w walucie koronowej po 50 kg. netto loco (paritas) Lwów bez akcyzy).

Pszenica prima, 9·15 do 9·30, średnia 8·70 do 8·80, żyto prima 6·85 do 7·00, średnie 6·50 do 6·70, jęczmień browarny 6·75 do 7·25, pastewny 6·— do 6·25, owies dworski 7·25 do 7·60, chłopski 7·00 do 7·25, kukurydza prima 6·25 do 6·50, średnia 6·00 do 6·25, rzepak zimowy 13·75 do 14·—, len 13·50 do 13·75, siemie 9·00 do 9·25, koniczyna czerwona prima 48·00 do 55·00, średnia 42·— do 48·—, biała prima 50·— do 70·—, średnia 45·— do 48·— szwedzka 00·— do 00·— Tymotka 29·— do 38·—, anyż płaski —·— do —·— okrągły —·— do —·—, groch do gotowania 8·— do 12·00, pastewny —·— do —·—, bobik koński 7·— do 7·25, wyka 6·00 do 6·10 otręby 7·50 do 7·75, spirytus kontyngentowany loco Lwów wraz z podatkiem 90 koron 000·00 do 000·00, bez podatku 34·— do 34·25, stacye Tarnopol-Brody 32·50 do 32·75, stacye Sokal-Jarosław 32·50 do 33·25, stacye Husiatyn-Stanisławów 32·— do 32·25.

Cena bez wszelkich kosztów za spirytus gotowy po 10.000 Literprocent.

§ **Targ krajowy** na bydło opasowe w Krakowie. Prądnik b. dnia 27 marca 1902.

Z powodu przybycia kupców z Niemiec i większego popytu ożywiony przebieg targu umożliwił łatwą sprzedaż i spowodował polepszenie cen o 3 do 4 koron na 100 kg. Spędzono ogółem 160 wołów opasowych, przeważnie dobrej jakości i uzyskano: za towar przedni 66—68 K., średni 62—64 K., pośledni 52—60 K. Wszystko sprzedano. Osiągnęli: Pp. Alter Stein z Chorostkowa 68 K., G. Treister z Chodaczkowa 64 K., zarząd dóbr Wolica p. Sokal 58 K., zarząd dóbr Cieszanów 56 K. Następny targ we czwartek dnia 3 kwietnia, przyjazd licznych kupców zakrajowych zapowiedziany.

Zarząd targowy.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(*Depesze poranne*).

Petersburg 29 marca. Władykaukazkie Towarzystwo budowy kolei żelaznej ma zamiar wybudować linię kolejową przez Tuassę, Suchum, aż do kolei transkaukazkiej. Koszta tej linii, mającej 510 wiorst długości, obliczono na 50 milionów rubli. Towarzystwo obowiązuje się założyć wzdłuż tej kolei kilka miejsc klimatycznych i kąpielowych. Roboty przedwstępne wkrótce się rozpoczną.

Wiedeń 29 marca. *Wiener Ztg.* ogłasza sankcyonowane 2-miesięczne prowizoryum budżetowe na czas od 1 kwietnia do 31 maja.

Wiedeń 29 marca. *Wiener Abendpost* donosi, że Cesarz postanowieniem z 24 bm. zarządził, aby wszystkim profesorom szkół wyższych, którzy w ciągu ostatnich lat otrzymali tytuł radzców dworu, nadano także charakter radzców dworu. Istnieje zamiar na przyszłość przy mianowaniu profesorów szkół wyższych radzcami dworu, nadawać im równocześnie tytuł i charakter radzców dworu, aby tem samem zapewnić wdowom i sierotom po nich pensyę taką, jak po urzędnikach V klasy rangi.

Wiedeń 29 marca. Najbliższe posiedzenie Izby posłów odbędzie się we wtorek 8 kwietnia o godz. 11 przed południem. Na porządku dziennym ciąg dalszy rozprawy budżetowej.

Rzym 29 marca. Do dziennika *Tribuna* telegrafują z Wenecyi, że minister Prinetti jest nadzwyczaj zadowolony z przebiegu rozmowy z kanclerzem Buelowem.

Bruksela 29 marca. Wobec sprzecznych doniesień, kto dał pierwszy impuls do ponowienia rokowań pokojowych, Boerzy czy Anglicy, zapewniają ze strony dobrze rzekomo poinformowanej, że bezpośrednia ku temu inicyatywa wyszła od samego króla Edwarda, któremu bardzo na tem zależy, aby na uroczystości koronacyjne, które zapowiadają się nadzwyczaj wspaniale, nie padał cień morderczej południowo-afrykańskiej wojny. Gdy król wysłał lorda Wolseleya do południowej Afryki, udzielono dowódzcom boerskim ze strony sympatyzującej z nimi życzliwej rady, aby okazali się skłonnymi do zawarcia pokoju, albowiem druga taka sposobność prawdopodobnie już się nie zdarzy. W kołach boerskich panuje przekonanie, że Anglia zaniecha żądania bezwarunkowego poddania się, w przeciwnym bowiem razie misya Wolseleya byłaby zupełnie bezcelową.

Londyn 29 marca. Biskup anglikański w Rochester wydał list pasterski, zalecający gorące modły o zawarcie pokoju. Biskup wzywa zarazem, aby do modlitwy dołączyć błagalną prośbę, by Wszechmogący natchnął Anglików i ich nieprzyjaciół miłością pokoju.

(*Depesze popołudniowe*).

Waszyngton 29 marca. Na wczorajszem posiedzeniu rady gabinetowej wyjaśnił minister rolnictwa niemiecką politykę dyferencyjną, to jest tę, którą zastosowują Niemcy do amerykańskich środków żywności, zwłaszcza do mięsa. Towary amerykańskie — rzekł minister — poddawane są w Niemczech nadzwyczaj ścisłej analizie. Gdyby nasi urzędnicy taksamo analizowali towary niemieckie, wyniknęłaby stąd dla Niemiec strata, sięgająca wielu milionów dolarów".

To wystąpienie ministra tłómaczone jest przez amerykańską prasę jako wskazówka Niemcom, iż powinny zmienić swe postępowanie.

W ministeryum spraw zagranicznych uważają sprawę Christmasa za rodzaj prywatnego wyzysku. Tak samo, jak Stany Zjednoczone, Dania bynajmniej nie zamierza zapłacić żadnej prowizyi, a więc i tej, której żąda Christmas.

Paryż 29 marca. Senat przyjął ustawę, upoważniającą rząd francuski do udzielenia rządowi kreteńskiemu zaliczki w kwocie miliona franków.

Berlin 29 marca. Na odbytem tu zgromadzeniu Polaków, zamieszkałych w Berlinie, postanowiono założyć w stolicy Niemiec „Dom polski", w którym zogniskowałyby się wszystkie polskie Stowarzyszenia w Berlinie. W domu tym ma być założona kaplica polska dla kazań i nabożeństw polskich.

HOTEL GEORGEA.

Przyjechali dnia 29 marca. Hr. F. Czosnowski z Ożomli. Hr. J. Komorowska z Glinny. T. Syroczyński z Podola ros. J. Bogdanowicz z Wiednia. J. S. Helcel z Królestwa Polskiego. M. Zakrzewski z Czołhan. M. Zakrzewska z Wiktorowa. Dr. F. Stokłosiński z Rawy ruskiej. S. Lewandowski z Bełzca. W. Lewandowski z Rosyi.

HOTEL EUROPEJSKI

ALBERT SZKOWRON.

Lwów — Plac Maryacki

Przyjechali dnia 29 marca. A. Zaremba Cielecki z Hadyńkowic. Hr. St. Moszyńska z Warszawy. M. Dwernicki ze Schodnicy. H. Mierzyński z Dubowic. G. Oszakiewicz z Łańcuta. S. Długoszowski z Cieszanowa. H. Wollrapp z Frankfurtu. A. Priwoźnik i G. Koppel z Wiednia. M. Heidereich z Rawy ruskiej. M. Grocholska z Rożysk. S. Marmorosz z Kołomyi. Z. Madeyski z Jabłonicy. M. Foreitnik ze Stanisławowa.

HOTEL FRANCUSKI

Plac Maryacki — Lwów.

Przyjechali dnia 29 marca. N. Hankie z Krakowa. W. Sabat z Psar. A. Bylina ze Stryja. A. Łokuciejowski z Lipska. T. Kuma z Wiednia. J. Kubczak z Brodów. S. Narzymski z Miżyńca. L. Cyga z Bursztyna. J. Angerman z Delatyna. K. Mglij z Borszczowa. R. Abgarowicz z Czerkaszczyzny. K. Radziejowski ze Stanisławowa. W. Kotowicz z Odessy. F. Arcyńscy z Podhajec. A. Abgarowiczowie z Bratyszowa. L. Cieński z Romanówki. N. Sidorowiczowie z Drohobycza. A. Zakrzewska z Krakowa. P. Lekczyński z Sokala.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Ruch pociągów kolejowych
ważny od 1go maja 1901 roku według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1·35**, **8·40***, 6·10, 8·50, 5·50 i 9.50*
Z Rzeszowa: 11·45.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2·35**, 8·35*, 5·85 10.20*; na Podzamcze: **2·20**, 8·12*, 5·11, 10·2*.
Z Tarnopola: 8·00 (na dw. gł.); 7·40 na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12·15***, **1·45**, 6·20, 5·40 i 9·20*.
Ze Stanisławowa: 11·55.
Ze Stryja: 8·10, 1·10, 4·40, 10·50*.
Z Brzuchowic, Żółkwi, Sokala: 8·15, 6·00
Z Janowa 7·45, 5.15.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12·45***, **8·30**, **2·55**, 4·15*, 8·40, 6·20*, 11*
Do Rzeszowa: 8·36.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1·55**, 6·30, 9·25 11·10*; z Podzamcza: **2·08**, 6·48, 9.42, 11·32*.
Do Tarnopola: 7·10* z dw. głównego i 7·32* z Podzamcza
Do Czerniowiec: **2·51***, **2·40**, 6·25, 10·25, 10·30*
Do Stanisławowa: 6·10*.
Do Stryja: 6·35, 9·00, 8·05, 6·35*.
Do Brzuchowic, Żółkwi, Sokala: 10·20, 7·25*.
Do Janowa: 9·15; 7.50*.

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano